

El conde Witoldo

Jadwiga Clea Moreno-Szypowska

Wyjazd okazał się opatrnościowy. Gombrowicz umknął wojnie. Przez dalsze życie na emigracji pozostał chłystkiem, zachował młodość, z którą w sierpniu 1939 zszedł na ląd z polskiego transatlantyku. Jak wyznaje Rita Gombrowicz, jej mąż chełpił się tym, że nigdy nie wydorósł: był albo młody, albo – kiedy powrócił na Stary Kontynent – zaraził się jego starością i od razu został człowiekiem leciwym. W Argentynie zachowywał się jak żreback. Zieleń południowego kraju i młodzińczość mieszkańców spotęgowały lekkość i świeżość emigranta, odciskając piętno na jego osobowości i sztuce. Upojony eliksirem młodości pozostał trzpiotem igrającym z wszelkimi konwenansami. Ten nieokiełznany mustang (bądź raczej *bagual* z Patagonii) nigdy nie pozwalał założyć sobie wędzidla. Gnał pełnią swojej osobowości po niczym nieograniczonej pampie *Mundus Novus*, zachwycając młodych artystów, którzy uczynili z niego idola, przeciwstawiając go kręgowi szacownych twórców związanych z wydawnictwem „Sur”, zapatrzonych w *Mundus Altus*. Gombrowicz, zamiast ulegać europejskim tendencjom wyznaczanym przez Paryż – które deklarowały obalenie dawnych (wyższych) wartości, lecz ciągle w nich tkwiły – kierował spojrzenie ku niższemu. Odwracając tradycję, chciał by – paradoksalnie – wyższe klęczało przed niższym, tak by niższość tworzyła wyższość. Apelował, by niższość dopuściła się gwałtu na wyższości, co od razu podchwycili młodzi, czyniąc z niego ikonę kontrkultury. Ekscentryczna postać cudzoziemskiego artysty jednych odpychała, a drugich przyciągała. Gombrowicz pozostawał obcy z wyboru. Stał się jednak dla Argentyńczyków pisarzem mówiącym o ich własnej kondycji. Pod frazesami dotyczącymi Polski odczytywali tekst o Argentynie. Wydawać by się mogło, że niewiele jest podobieństw między tymi dwoma krajami. Polski pisarz wyodrębnił jedną cechę, którą jego północna ojczyzna odrzucała, a południowa przyjmowała. Była to młodość. Polacy, miast tworzyć „Młodą Polskę” otwierającą drogę na nową, zdefiniowanie siebie, utwierdzali się w sienkiewiczowskiej wizji ojczyzny z czasów I Rzeczypospolitej i pielęgnowali typ Polaka, który podąża za dźwiękiem wieszczki liry Mickiewicza. Argentyńczycy, świadomi swej kulturowej małaletności, działali w imię Nowej Argentyny i w ferworze autokonstrukcji ogłaszali klasykiem literatury współczesnego im pisarza, Jorge Luisa Borgesa. Ta młodzińcza zbieżność pozwalała Argentyńczykom postrzegać Gombrowicza jako część motoru przyspieszającego samouświadomienie narodowe. Kto mógł ich lepiej i „obiektywniej” opisać, jeśli nie ów intelektualny przybysz, zawsze wykładający kawę (a może *mate*) na ławę, nie zważając na to, czy kogoś obrazi. Cudzoziemiec spoglądający spod oka na kraj, który go przyjął, goszcząc go nie jak arystokratę krwi lub pióra, lecz jak zwykłego emigranta.

Szły słuchy, że gdzieś daleko, w państwie o egzotycznej nazwie *Polonia*, kiedyś wydał jakieś pisemka, a teraz regularnie publikował dla paryskiej „Kultury”, co go uprawniało do tytułowania siebie pisarzem. Mimo wszelkich starań Gombrowicz w Argentynie do końca pozostał anonimowym literatem. Zaistniał jako malownicza postać otoczona barwną legendą. Olśniewająca osobowość przyćmiła twórczość. Ta kalejdoskopowa recepcja zostaje w książce *Witoldo wyobrażony* przedstawiona w sposób przystępny – a zarazem skrupulatny – przez polonistę i literaturoznawcę Pau Freixę Terradasa.

Gombrowicz – w swojej legendzie – to *el conde polaco* (hiszp. polski hrabia), który nosi kapelusz, pali fajkę i gra w szachy w Café Rex, gdzie wieczorami przeprowadza niezwykły eksperyment translatorski. Polak, który nie znał dobrze docelowego języka, przekładał *Ferdynandurke* w domu na hiszpański (opierając się na francuskiej wersji), po czym zanosił tekst do kawiarni, gdzie wspólnymi siłami literatów i kelnerów nadawano mu ostateczną wersję, często tak różną od polskiego oryginału, że niektórzy badacze uważają ją za osobne dzieło. Inny element legendy to zaciekle walczył między Gombrowiczem a Borgesem. Nie znosili się i każde spotkanie kończyło się jakąś prowokacją ze strony Polaka. Najbardziej znaną anegdotą (choć nieprawdziwą) jest ta, która opowiada, że kiedy polski pisarz wsiadł na statek do Europy, zapytany o przyszłość literatury argentyńskiej, odrzyknął z pokładu: „Zabijcie

Borgesa!”. To wszystko stało się pożywką dla recepcji Gombrowicza, który swoją barwą zamalował tak starannie własną twórczość, że jest ona po dziś dzień ledwie dostrzegalna. Postać przerosła sztukę. Dopiero wystawienie w 1963 roku w Paryżu *Ślubu* w reżyserii Argentyńczyka Jorge Lavelliego otworzyło mu drzwi do niecierpianego przezeń teatru. I tak, trochę na przekór autorowi, obok rozpoznawalnego polskiego jaśnie pana stał podziwiany geniusz teatralny – Witold Gombrowicz. Jednakże dopiero po swojej śmierci *el conde Witoldo* zaistniał jako *el escritor polaco-argentino* (hiszp. pisarz polsko-argentyński). Stało się to za sprawą Ricarda Piglii, który nazwał go najlepszym argentyńskim pisarzem XX wieku, proponując narodową lekturę jego twórczości. Późniejsi hermeneuci podchwycili tę interpretację.

Według Freixy Terradasa są trzy formy recepcji Gombrowicza w Argentynie. Pierwsza skupia się na życiu *el conde Witoldo*, niezwykłej postaci stanowiącej świetny materiał dla powieści czy filmów. Druga to wystawianie sztuk teatralnych Polaka, uznanego za jednego z najważniejszych dramaturgów XX wieku. Trzecia opiera się na lekturze, głównie *Dziennika argentyńskiego*, specjalnie spreparowanego rok przed śmiercią autora z myślą o czytelnikach z jego przybranej ojczyzny. W niej Gombrowicz jawi się jako obcojęzyczny argentyński pisarz przedstawiający i kreujący wizerunek Argentyny.

Te trzy odbiory przeważają jeszcze w XXI wieku, choć coraz częściej pojawiają się badacze, którzy sięgają po spuściznę literacką Gombrowicza bez interpretacyjnych naleciałości, chcąc zaoferować świeższe (chciałoby się rzec młodsze, nowsze, zieleńsze) nie tyle spojrzenie na postać, co odczytanie jego twórczości jako część literatury światowej. Dzięki temu zaczyna się mówić więcej o jego sztuce niż o osobie czy też koncepcji. Zapał, z jakim Gombrowicz zdumiewał – tak innych, jak i samego siebie – nadal wpływa na neutralną recepcję jego twórczości. Stąd też „Witoldo wyobrażony” staje się ofiarą własnych popędów bałwochwalczych, czego przykładem jest recenzowana książka. ☉